

MAREK: Ach, chodźże tu w moje ramiona!... kochany siostrzeńcze mego przyjaciela... niechże cię uściskam! (*ściska go*).

MICHAŚ: Gdybyś się pan o chwilę tylko spóźnił, byłoby już po mnie.

MAREK: Co mówisz?

EUGENJUSZ: Więc to nie Michaś Ardeński?

MICHAŚ: Ale co za nadreński, kiedym niby bałwan na biegunie północnym.

EUGENJUSZ: Ależ pan podobny do mego wroga jak dwie krople wody.

ANDRZEJ: A także do Edwarda Harbuza.

MICHAŚ: Harbuzem powinieneś być pan!

ANDRZEJ: Te same rysy twarzy...

MAREK: Tam do kata, cóż się tu stało?

MICHAŚ: Ja dotychczas sam nie wiem o co tym panom chodzi? Ten pan chciał mnie zabić, tamten zaś żądał ode mnie 500 złotych.

MAREK: Co za dziwny zbieg okoliczności!

MICHAŚ: Muszą tu mieszkać szczególni ludzie, jeśli wszyscy do mnie są podobni!

MAREK: Ale nie stojmy tu; chodź do mego domu! Musisz się posilić...

MICHAŚ: Strach obudził we mnie wilczy apetyt. Jeśli znowu kiedy zachoruję, pojedę do Afryki, Ameryki lub Australji na poratowanie zdrowia. Tam nie tak łatwo będę podobny do innych. Najlepiej jednak będzie, gdy zostanę w domu. Wszędzie dobrze ale w domu najlepiej, powiada mądrze stare przysłowie! (*biorą się do wyjścia*).

Kurtyna spada.

Własność sekcji scenicznej „101” samopomocy y. 8

TEATR AMATORSKI Nr. 101.

B. TYCZYŃSKI

□ □ □

NOCTURN

TRAGIKOMEDYA W JEDNYM AKCIE

NA TLE FABUŁY NIEMIECKIEJ

SEKCJA
SCENICZNA



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1911

Własność sekcji scenicznej „101” samopomocy y. 8

911

MARE
sios
ska
MICH
lob;
MARE
EUGE
MICH
na
EUGE
dw
ANDR
MICH
ANDR
MARI
MICH
no
zą
MAR
MICH
w:
MAR
M
MICH
zi
lu
ła
bi
w
(l

OSOBY:

RYSZARD. *Kubik*
NIEZNAJOMY. *Stawek*
DOKTOR. *Stawek*
2-3 LUDZI. *Witek - syniek*

Rzecz dzieje się w mieście.

KRAKÓW. — Druk W. L. ANCYCA I SPÓŁKI.

Pokój Ryszarda wykwintnie urządony, dwoje drzwi; na ścianach obrazy wartościowe — dywany perskie — na kominku waza gliniana (wykopalisko) — stary zegar stojący — mnóstwo drobiazgów porozrzucanych z gustem — meble bogate i t. d.

SCENA I.

(Przed podniesieniem kurtyny słychać grę na fortepianie. Po chwili zwołna kurtyna idzie w górę).

RYSZARD, NIEZNAJOMY.

RYSZARD

(siedzi przy pianinie, gra rzecz poważną b-mol. Grając, spogląda od czasu do czasu w okno, przy którym stoi fortepian, tak, że widz odnosi wrażenie jakby czyjaś obecność za oknem — zaciekawiała — niecierpliwiła Ryszarda. Okno otwarte).
(Spogląda znów w okno, grając).

Kto to być może? *(Grajac, po chwili)* ciekawy jakiś amator muzyki *(gra... poczem)* stoi jak słup wpatrzony w moje okno... dziwny człowiek... a może mu okno zamknąć przed nosem?... e... to byłoby niegrzecznie... jeżeli jednak Pan ten

jest niedyskretny, należałaby mu się nauczka!... (chwile gra udając, że go jegomość ów nie obcho dzi. Zniecierpliwiony) co? jeszcze jest?... doprawdy, zaczyna mnie to irytować... (wstaje, dyskretnie pa trzy przez okno)... wcale przyzwoity jegomość... zamyslił się... niecierpliwi się... aha! widocznie niezadowolony, że przestałem grać.. poszedł... no chwala Bogu!... ale gdzież tam, znów wrócił, a to jakiś zawzięty pasażer!... pal go licha! niech spaceruje kiedy mu to dobrze robi! (siada do forte pianu i gra, zawsze zwracając jednak uwagę na na treta) masz... teraz oparł się dla wygody o la tarnię i słucha... zaczynam być dumnym na moją grę... (zagłada, naraz się zerwał) oho! już go niema... dał sobie spokój... (za sceną słycać dzwonek). Któż tam? (dzwonek). Ah! Jana posłałem na pocztę, muszę pójść sam otworzyć... (nadstuchuje — znów dzwonek! — po chwili znów dzwonek! — zniecierpli wiony wypada do przedpokoju, słycać otwieranie drzwi, rozmowę za sceną, poczem Ryszard cofając się plecami z przedpokoju, wchodzi na scenę, za nim Nieznajomy. Gra mimiczna. Ryszard zdziwiony, py tając oczekuje wyjaśnienia niezwyklej wizyty Nie znajomego, obaj stoja, przez chwilę naprzeciw siebie nic nie mówiąc).

(Pauza).

NIEZNAJOMY

(bardzo elegancko ubrany, lat 46—50, włos szpako waty, ruchy dystyngowane, monokl w oku, laska ze srebrną galką, czarny surdut z kwiatem w butonierce. Nieśmiało).

A tak! to pan... nie omyliłem się... Wszak to pan grałeś... nieprawdaż?

RYSZARD (*zimno*).

Tak — ja grałem...

NIEZNAJOMY.

Utwór, który przed chwilą słycałem nasu nął mi wspomnienia... że się tak wyrażę... wspo mnienia minionych chwil szczęścia... to jest wła ściwie... e... tego...

RYSZARD (*zdziwiony*).

Wybaczy pan... ale doprawdy nie wiem...

NIEZNAJOMY

(*przerywając, podaje R. rękę*).

Ach! pardon!... Grand pardon!.. zapomniałem... jestem hr. na Rozdrogach Rozdrocki...

RYSZARD (*podając rękę*).

Ryszard Rumilo.

NIEZNAJOMY.

Jak proszę? niedosłyszałem...

RYSZARD.

Ryszard Rumilo.

NIEZNAJOMY.

Coo?! Rumilo!.. Więc to pan jesteś tym sław nym poetą?... ach jakże się cieszę... nie... do prawdy... co za szczęście!

RYSZARD (*cofając się, zimno*).

Przepraszam pana, ale poetą niestety nigdy nie byłem, jestem natomiast...

NIEZNAJOMY (*przerywa*).

Mniejsza z tem kim pan jesteś... sympatyczne poznanie pana zawdzięczam tej cudnej melancholijnej pieśni — wprawdzie bardzo starej — ale zawsze dla ucha tak milej — i pieśń ta właśnie w progi pańskie mnie przywiodła.

RYSZARD (*j. w. z uśmiechem*).

A więc rolę rusalek Ulissesowych zagrałem z powodzeniem?

NIEZNAJOMY (*śmiejąc się*).

O! tak — wspaniale pan grałeś — i jeżeli się nie mylę, to grałeś pan Chopina fantazyę?

RYSZARD.

Nie — panie hrabio — to moja fantazyja, do-tychczas nigdzie nie grana; jestem kompozyto-rem... (*prosi siadać*).

NIEZNAJOMY (*zbity z tropu*).

A... a... tak (*siada*) ha! ha!... a to paradne!... a ja... ja... pana miałem za poetę — ha!... ha!... e tego... ten... a to ciekawe... a więc to rzeczy-wiście pański utwór?

RYSZARD.

Z całą pewnością...

NIEZNAJOMY.

Szczególne!... Więc pan tworzy takie cudne dzieła? Pan wlewa w dusze zbolale te przecu-dne dźwięki — które koją, łagodzą rany — kiel-zają burze... spokój... raj przynoszą?

RYSZARD (*do siebie*).

Czego on właściwie chce?

NIEZNAJOMY.

O tak panie! słuchałem długo pod oknem pańskim — stojąc tam, wchłaniałem w siebie tę piękną pieśń — jak balsam orzeźwiający spływały te precudne dźwięki kaskadami, na moją duszę zbolalą... na moje serce rozdarte na strzępy!... spływały na moje życie splakane! na czarną sierocą niedolę!

RYSZARD (*w zakłopotaniu*).

Wybaczy pan — ale doprawdy — nie wiem o co właściwie panu chodzi?

NIEZNAJOMY (*z entuzjazmem*).

Panie!... Panie!... przyjm pan mój serdeczny dank — za szczęście poznania pana wśród tak niezwykłych okoliczności — przyjm pan po-dziękę za chwil kilka uludy... (*wstrząsa Ryszarda ręką*).

RYSZARD (*cofnął się*).

Proszę... ale... doprawdy mimo wszystko... nie mam... pojęcia...

NIEZNAJOMY (*wpadając*).

Tak... tak... zupełnie słusznie... Pan nie mo-żesz mieć pojęcia co się we mnie dzieje... dzi-wne się to panu może wszystko wydaje... nie-prawdaż?

RYSZARD.

Nie przeczę...

NIEZNAJOMY (*j. w.*).

Nie zdziwisz się pan jednak, gdy ci obraz mego życia przed oczy rozwinę, nie zdziwisz się skoro usłyszysz — przez jakie piekło przeszedłem! (*zamyśla się, potem nagle*). Panie! czy pan żonaty?

RYSZARD.

Nie.

NIEZNAJOMY.

Szczęśliwy człowieku! masz rację, nie żę się... bo to... to piekło! a żona to szatan na ziemi!!

RYSZARD.

Ależ panie... sąd pana... za...

NIEZNAJOMY (*przerzywa*).

Nie — nie zaprzeczaj pan. Ślepy o kolorach nie może dysputować — ja... ja panie — kochałem raz tylko w życiu, bo raz tylko można kochać — (no tak... przynajmniej mówią). A pan kochałeś się kiedy?

RYSZARD (*znudzony*).

Nie panie? (*d. s.*) ciekawy okaz!

NIEZNAJOMY (*z goryczą*).

Szczęśliwy!... szczęśliwy! o jakże panu zadroszczę — żeś nie zaznał tych piekielnych katuzzy, jakie miłość zadaje — tych mąk strasznych, przez jakie trzeba przechodzić, (*chwytą się za głowę rozpaczliwie*) ileż lez (*wzruszenie się potęguje*) całe morze lez!... starganych nerwów na strzępy! (*westchnął*). O Boże!... (*cisza... nie poruszony głowę skrył w dłoń*).

(*Dłuższa pauza — na scenie cisza — Ryszard bezradny patrzy ze współczuciem na niego — po pauzie Nieznajomy nagle zerwał się z siedzenia*).

Panie, na miłość Boską, zagraj mi pan raz jeszcze tę samą pieśń... błagam pana.

RYSZARD

(*wstał, bezradny, zakłopotany*).

I owszem, jeżeli pan hrabia sobie życzy...

NIEZNAJOMY.

Ja proszę — bardzo proszę — to mi odświeży moją przeszłość — ukoi mój ból serdeczny — popieszczę się w myślach z tem co minęło a więcej nie wróci.

RYSZARD

(*jak manekin poszedł do fortepianu*).

Pocóż więc grać? na to, aby cierpień przysparzać? muzyka niech goi a nie rani (*siada*).

NIEZNAJOMY (*wstał*).

Pod wrażeniem uchwyconych tonów co z pod pańskich rąk spłyną, opowiem panu nieco o sobie... (*oparł się o fortepian*) otworzę me rany, otworzę me serce — a wtedy zrozumiesz mię pan może i przebaczysz... wtedy nie zdziwisz się dlaczego tu dziś pod pańskim dachem goszczę... a więc proszę, graj pan jeszcze!...

RYSZARD (*z grymasem*).

Ha! kiedy koniecznie... niechże będzie... (*zaczyna grać pianissimo tak, aby mówiącego słyszeć można*).

NIEZNAJOMY

(wsparty o fortepian, słucha z zajęciem, zdaje się, że żadna nuta nie ujdzie jego uwadze. W miarę gry uśmiecha się, to znów się zasepia, w dłonie głowę chowa... gra mimiczna, nie komiczna, zupełnie seryo traktowana być musi. Po dłuższej grze mimicznej staje przy ciągle grającym Ryszardzie).

Wie pan, ona tak samo z czuciem grała!

RYSZARD

(który przez cały czas gry obserwował nieznajomego, przestaje grać).

Jaka ona?

NIEZNAJOMY *(z westchnieniem).*

Moja żona... drobnymi paluszkami, jak harfę Eolską wietrzyk, — ona muskała po zimnych klawiszach — i płynęły tony, snuły się jak przecudna złota przedza bez końca i omotały me serce. *(Gwałtownie)*. Spętała jak pajak schwytanego owada. *(Pauza)*. Ale graj pan dalej!

RYSZARD

(z wyrazem współczucia gra dalej).

NIEZNAJOMY

(Gra mimiczna jak przedtem).

I wszystko przeszło, przepadło na marne. E! *(machnął ręką, chodzi po pokoju, staje przed starym obrazem, wpatruje się w niego).*

RYSZARD

(zdziwiony, ustaje grać, patrzy na niego).

NIEZNAJOMY

(patrząc wciąż na obraz).

To Murillo?

RYSZARD *(wstaje od fortep.)*.

Nie — Van Dyk.

NIEZNAJOMY *(zawstydzony).*

Ach! tak, — rzeczywiście Van Dyk... rzecz wielkiej wartości — prawda?

RYSZARD *(również przed obrazem).*

O tak — bez wątpienia. Ofiarowano mi za obraz ten 40.000 franków — nie sprzedaję go jednak — bo jest to pamiątka rodzinna.

NIEZNAJOMY.

Słusznie! byłoby to barbarzyństwem. *(Po chwili)*. Ale proszę, graj pan jeszcze!

RYSZARD

(już zniechęcony siada i zaczyna grać).
Zamęczy mię dzisiaj ten człowiek!

NIEZNAJOMY

(zbliżył się znów ku fortep.)

Tak... tak grywała mi codziennie — szczęśliwy byłbym słuchał wieki całe tej muzyki — to był mój skarb — to była uczta cała, której byłbym za żadne królestwo nie oddał — *(przy-ciszonym głosem)* najtkliwsze pianissima chwytalem lakomie z rozkoszą *(gwałtownie)* najgłębsze fortissima pierś mą rozpierały, ja byłbym z Tytanem za bary się chwytal! to była orgia to-

nów — kaskad — istny szal akordów, co raz się śmiały — raz rwały serca na sztuki!

RYSZARD

(w miarę jak się *Nieznamy zapala, powoli grać przestaje).*

NIEZNAJOMY.

Byłem szczęśliwy... bo byłem kochany!

RYSZARD (*wstał*).

Dawno jak żona panu umarła?

NIEZNAJOMY (*z gorzką ironią*).

O gdyby umarła! — niestety żyje... szczęśliwie żyliśmy lat pięć (*pausa*) całych lat pięć szczęścia — to pięć lat życia — nieprawdaż, to bardzo dużo!... — aż pewnego dnia... ale panie, dlaczego pan nie gra? tak mi pan skąpi tej muzyki.

RYSZARD.

Uważam, że gra moja niekorzystnie działa na pana (*siada i gra*).

NIEZNAJOMY.

Przeciwnie Panie — to balsam na moje rany... aż pewnego dnia wpelzał się w próg mego domu (*z naciskiem*) wąż! na ha ha! prawdziwy salowny Boa Constrictor!

RYSZARD

(*z wolna gra, muzyka cichnie, wstaje od fortep.*).

Czy nie bierze pan rzeczy w gruncie niewinnej zanadto tragicznie do serca?

NIEZNAJOMY.

Czy nie zanadto tragicznie?!... ha! ha! ha!... nim pan osądzi — trzeba wprzód poznać rdzeń sprawy — jeżeli więc to pana nie znudzi, proszę, posłuchaj pan jednego aktu z tragedyi mego życia. (*Cisza na scenie, nastrój przygnębiający*).

NIEZNAJOMY X

(*zamysłił się, jakby walczył ze sobą, czy może opowiadać tajniki swego życia człowiekowi obcemu. Wreszcie po wewnętrznej walce ze sobą, przyzwawszy energię na pomoc, otrząsa się, i zaczyna powoli*).

Ożeniłem się z panną naszego towarzystwa, z hrabianką... (nazwisko niech przy mnie zostanie); wniosła mi ona w dom okazałą wyprawę, kilkadziesiąt tysięcy posagu i swoją urodę — żyliśmy jak w rajach... nie brakło niczego... przy moim majątku zrozumie pan, mogliśmy żyć bez troski o jutro, i spoglądać w przyszłość jasno... wesoło. Pewnego dnia zaansowano mi przybycie jakiegoś pana a że była to pora, w której nie przyjmowaliśmy gości, zdziwiłem się nie mało, gdy po chwili lokaj przyniósł mi na tacy bilet mego szkolnego kolegi — i przyjaciela z lat studenckich. Naturalnie przyjąłem go w tej chwili, ucieszyłem się niezmiernie. wśród wesołej pogadanki i wspomnień lat młodzieńczych przeszedł nam czas miło — tak że gościa mego w następstwie nie puściłem i zatrzymałem na obiedzie — poznał moją żonę — i jak widziałem bardzo mu się podobała... no i on jej także przypadł do gustu — bo bardzo ożywną prowadzili rozmowę.

RYSZARD.

Aż dotąd nie widzę nic tragicznego.

NIEZNAJOMY.

Tak aż dotąd... w trakcie rozmowy wyznał mi mój przyjaciel, że głównym czynnikiem dla którego mię odwiedził — jest prośba o wyrobienie mu posady — nie wiem dlaczego — czy miał pecha — czy też brak zamilowania do pracy — dość że los dziwnie nim rzucił i mimo, że był skończonym technikiem, nigdzie na stałej posadzie utrzymać się nie mógł — jak więc zwykle w życiu, w potrzebie poznaje się przyjaciela... i on przypomniał sobie mnie gdy pomocy mojej potrzebował... pochlebiam sobie że mam wpływy w szerokich kołach naszego społeczeństwa — i lubię ludziom potrzebującym, przyjść z pomocą, w krótkim więc czasie przyjaciel mój otrzymał za moją protekcją znakomitą posadę inżyniera, przy budowie tuneli i trasy kolejowej — z placą 10.000 koron rocznie...

RYSZARD.

Ależ to bajeczna egzystencja...

NIEZNAJOMY.

Nieprawdaż?... mimo, iż nie należał do naszej sfery — polubiłem go dla jego humoru i ciętego dowcipu — każdej niedzieli przyjeżdżał do nas i bawił przez dzień cały — tak przyzwyczailiśmy się do jego towarzystwa — że gdy się czasem zdarzyło że przyjechać nie mógł — oboje z żoną chodziliśmy jak powarzeni — za muzyką przepadał — godzinami słuchaliśmy obydwaj wsu-

nięci w fotele, gry mojej żony — przyjaciel mój mawiał, że za muzyką jej poszedłby na koniec świata — że go gra jej czaruje i t. d. i t. d. ha! ha! i oczarowała go!... za serce moje zapłacił mi... o hojnie mi się odwdzięczył!... *(nagle wstaje — przeszedł się po scenie i staje przed zegarem)* — ha! cóż to za ciekawy zegar, jakiś stary grat — po co pan to trzyma u siebie?

RYSZARD *(z pobłażliwym uśmiechem)*.

Rzeczywiście stary grat, ale jest to biały kruk wśród zegarów, jeden z pierwszych zegarów norwimberskich, wartości nieocenionej — bo tylko dwa zegary tego typu zrobiono, jeden tu — a drugi w muzeum Antique w Paryżu złożono.

NIEZNAJOMY.

Prawda! — teraz poznaję... ale tak... tak... ma pan rację — podobny zegar widziałem, będąc na wystawie w Paryżu... *(po chwili — chodzi po scenie, oglądając pilnie każdą drobnostkę)* no — a ta waza? ta chyba nienależy do rzędu białych kruków? — zapewne kupił ją pan na licytacji sklepu z porcelaną.

RYSZARD *(urazony)*.

Myli się Pan — to jest wykopalisko, sięgające przeszłością 400 lat przed Chrystusem — wazę tę znaleziono w jednym z grobowców rzymskich.

NIEZNAJOMY *(ze zdziwieniem — ogląda wazę)*

Proszę... proszę...

RYSZARD.

Nabyłem za niezwykle wygórowaną cenę.

NIEZNAJOMY.

Jak widzę, to ma Pan tu prawdziwe muzeum starożytności. Każdy kawałek to cacko — to majątek... a co za dywany!

RYSZARD.

Prawdziwe smyrneńskie — lub perskie.

NIEZNAJOMY.

Panie! i ja miałem takie rzeczy, czego ja nie miałem, jakie meble — obrazy, wszystko to poszło na marne — rozdałem, sprzedałem za psie pieniądze — aby się tylko tego zbyć co mi ją przypominało — *(zbliża się do fortep.)* fortepian miałem hebanowy — drugi palisandrowy — arcydzieło sztuki — *(uderza w klawisze)* jakiż podobny ton — *(puka palcem początek Ständchen Szuberta)* o — tak się zaczynała ta pieśń którą ona grała bardzo często.

RYSZARD.

To Ständchen Szuberta.

NIEZNAJOMY *(ironicznie)*.

Tak... tak... Ständchen, precudną Ständchen Mozarta

RYSZARD.

Szuberta...

NIEZNAJOMY.

Tak... tak... Szuberta — o znam dużo jego utworów — wszystkie je precudnie grała... a wie Pan dlaczego?

RYSZARD.

Ciekawym.

NIEZNAJOMY.

Bo on to lubiał! — ha! ha! przepadał za Szumanem! ale... ale... Pan znów nie gra! proszę, zagraj pan jeszcze.

RYSZARD.

Czy nie za wiele, jak na dzisiaj —

NIEZNAJOMY.

Jeszcze chwilę — nie odmawiaj pan nie-szczęśliwemu tej drobnej przysługi który zabrał się pod pański dach spokoju i szczęścia.

RYSZARD *(d. s.)*.

Szczególny człowiek *(siada — gra)*

NIEZNAJOMY.

Patrzę zę zazdrością na zacisze pańskiego raju — żal mam do losu, że mi nie dał szczęścia — które z początku takie precudne rojenia przyszłości mi przedło — wszystko nagle tak przysło — jak bańka mydlana! *(po chwili — nabrawszy sił)* zdradziła mnie, spodliła się... i... uciekła z tym, któremu chleb w potrzebie w rękę dałem.

RYSZARD.

Biedny Pan — teraz pojmuję i zupełnie rozumiem boleść pańską.

NIEZNAJOMY.

Sam jak pies zostałem na gruzach mej strzaskanej przeszłości, mej nędznej niedoli!...

RYSZARD.

Dziwne są doprawdy koleje życia.
(*Pauza — muzyka cichnie — milknie.*)

NIEZNAJOMY.

Jak łódź bez steru pędzona wichrem po wzburzonych falach — tak ja szalałem — rwałem się — biegłem przed siebie — chciałem szczęścia gonić, co mi z rąk się wymknęło! (*po chwili — jakby w obłąkaniu*) ha! to Pan, to pan — tak... — tak... tak... poznaję pana (*biegnie ku niemu, jak by się chciał rzucić, nagle staje — z uśmiechem gorzkim*) nie — nie — myślę się — tamten był niższy... — przystojniejszy... — nie bój się pan.

RYSZARD

(*który się zerwał — niespokojny stanął za fortepianem.*)
Niechże się pan uspokoi!

NIEZNAJOMY (*z gorzką ironią.*)

Doprawdy! mam się uspokoić — ha! ha! czy można burzę z piorunami słowami uspokoić —? na to trzeba czasu — długiego czasu.

RYSZARD (*d. s.*)

Zaczynam go się obawiać — taki wzrok dziwnie przejmujący — robi wrażenie waryata.

NIEZNAJOMY

(*zasepił się — znów mówi spokojnie.*)

Wchodzę do domu... cisza... zna pan tę ciszę?... cisza okropna... przejmująca do szpiku.

RYSZARD (*j. w.*)

Straszny człowiek!

NIEZNAJOMY.

W pokoju nieład — wysunięte szuflady próżne — szafy puste — ha! myślę sobie — złodzieje nas okradli — wpadam do drugiego pokoju — pustka — do trzeciego — czwartego — piątego — szóstego, wszędzie ta sama cisza — ta straszna okropna cisza.

RYSZARD (*d. s.*)

Co ja z nim pocznę — (*głośno*) ależ Panie co to właściwie mnie obchodzi — niech się pan uspokoi!...

NIEZNAJOMY (*z gniewem.*)

Nie przerywaj pan! rozglądam się — nie ma jej nigdzie — szukam w każdym zakątku — nie znalazłem nic prócz kilku słów pożegnania lakonicznego i finita la comedia... zrozumiałem że mnie z kretelem okradziono, zabrano mi wszystko — co miałem najdroższego, złamano mi życie na zawsze, (*łka boleśnie, wstrząsa się ciałem — cisza.*)

RYSZARD

(*nieradny z kłopotliwym grymasem.*)

I nie starał się pan sprawy wyświetlić — wezwać żony do powrotu?

NIEZNAJOMY.

Co miałem wyświetlać?... było mi wszystko tak jasnym że niczego więcej wiedzieć nie potrzebowałem.

RYSZARD.

Żał mi pana serdecznie, ale niech to pana

pociesz — że podobne przykre wypadki — powtarzają się na globie ziemskim, w tysiącu odmianach.

NIEZNAJOMY (*z pasyą bije pięścią w stół*).

Do stu piorunów! ładne pocieszenie! w takim razie każ się pan powiesić, bo tysiące ludzi zawisło na stryczku.

RYSZARD.

Porównanie niekoniecznie szczęśliwe.

NIEZNAJOMY.

Ciekawym bardzo, dlaczego właśnie ja mam należeć do rzędu tych nieszczęśliwych — czemu pan się nie ożeniłeś — i czemu pana nie opętała...? czemu nie omotała w swe sieci... ta... ta... ja powinienem brzdąkać na tym klawicymbale — a pan jak pies tam — tam pod oknem powinien być wyć i skomleć — (*nagle zrywa się*) oddaj mi pan ją — oddaj ją pan.

RYSZARD (*cofa się przed nim w przest్రachu*)

Panie, co panu jest? co pan wyprawia?

NIEZNAJOMY (*j. w.*).

Jedną ją kochałem — jedną tylko miałem — zabrałeś mi pan — słyszysz ty psie w skórze ludzkiej!

RYSZARD (*j. w.*).

Boże! co się z nim dzieje (*kryje się za sprzęty*).

NIEZNAJOMY (*spokojniej*).

Ale pana to cieszy, pan się mną bawisz — bawisz się mojem cierpieniem — mojem udęczeniem.

RYSZARD.

— ja bardzo z panem współczuję — i g... ..

NIEZNAJOMY (*ironicznie*).

— jakiej laski! doprawdy!... współczujesz pan, współczucie, prócz dramatycznie kome... skrzywienia gęby nie nie kosztuje... ..

RYSZARD.

Biedny człowiek!

NIEZNAJOMY (*gniewnie*).

Coś pan powiedział? »biedny«? nie panie! »nieszczęśliwy«.

RYSZARD.

Na jedno wychodzi.

NIEZNAJOMY.

Mylisz się pan — człowiek biedny może być także w kole swoich wymagań... szczęśliwy!

RYSZARD (*d. s.*).

Trzeba go się pozbyć; jak na pierwszą wizytę, trochę za długo.

NIEZNAJOMY.

Ja nie byłem biednym, ja miałem wszystko, czego dusza zapragnąć mogła; brakło mi tylko... ha! ha! prawda! złodziej mnie okradł!

Pan mię okradłeś! (*biegnie za nim, Ryszard ucieka. Przewracanie krzeseł, krzyk, rwetes na scenie*).
Wróć mi szczęście! Wróć mi spokój kanalio!

RYSZARD.

Panie dość tego! proszę opuścić dom mój w tej chwili!

NIEZNAJOMY (*spokojnie*).

Czy tak? nie panie! ja stąd nie wyjdę — ja będę ci stał tu przekłeta podła gadzino! jak wyrzut sumienia, będę ci rwał serce na sztuki, tak jak ty mi rwałeś! Ja będę mścicielem za życie moje całe, za zgrabione skarby, będziesz pokutował.

RYSZARD.

Panie dość tych komedii, żal mi pana, ale zmuszony będę wezwać pomocy.

NIEZNAJOMY.

Ani się rusz! (Za sceną słychać głosy).

RYSZARD

(zbliża się ku przedpokojowi, nadśluchoje. Wchodzi szybko doktor, za nim dwóch ludzi z kaftanem bezpieczeństwa).

DOKTOR (*kłania się; do ludzi*).

Założyć kaftan. (*W tej chwili służący chwytają Nieznajomego z tyłu za ręce; szamotanie się, Nieznajomy broni się; po chwili pokonany poddaje się z rezygnacją*).

NIEZNAJOMY.

Ha! lotry, to i tuście mię znaleźli, nawet tu spokoju mi nie dacie! (*szamocze się*).

DOKTOR.

Wybaczy pan, że stałeś się ofiarą napadu tego nieszczęśliwego człowieka. Jestem lekarzem zakładu obłąkanych, chory zdołał nam dzisiaj rano umknąć... po długich poszukiwaniach.

RYSZARD.

Ależ panowie, ten pan nie jest niebezpieczny, puście go!

DOKTOR.

Niemożliwe, był jakiś czas spokojniejszy, i znów dostał ataku, musimy go uspokoić.

RYSZARD (*ze współczuciem*)

(*przybliżył się ku Nieznajomemu, który przez cały czas, stał teraz spokojnie*).

Prawda panie, że pan się uspokoi?... puszczą pana, niech się pan nie obawia.

NIEZNAJOMY (*z wściekłością*).

Precz! Precz! odemnie!!! (*szamocze się, chcąc się wyrzucić*). Puście mię, ja go w kawałki, na sztuki go rozedrę! Puście mię!!!

DOKTOR

(*który przyskoczył do chorego odsuwa na bok Ryszarda*).

Przepraszam pana, ale widok pana drażni go; zanim zatelefonuję po karetkę, proszę na razie wyjść do drugiego pokoju, inaczej nie damy sobie z nim rady.

RYSZARD.

Dobrze, sądzę jednak, że lepiej by było..

NIEZNAJOMY

(wrywa się ku Ryszardowi).

Kroć dyablów, piorunów puście mię, ja go jak jagnię zdławię! uduszę, no! puście na chwilę... tylko!...

DOKTOR.

Atak się wzmaga, nie damy rady nawet we czterech; na wszystko proszę pana wyjść stąd na chwilę, aż się trochę uspokoi, zapomni.

RYSZARD (wachająco).

No... Dobrze, proszę jednak nie długo... (d.s.) biedny człowiek!...

NIEZNAJOMY.

Ty psie! — Ty szelmo, kanalio! Chodź, niech cię uściskam, aż ci kości chrupną.

DOKTOR (wypychając Ryszarda).

Proszę wyjść, bo nie ręczę za skutki!

RYSZARD (wychodzi na lewo).

DOKTOR

(zatrząskuje za nim drzwi, zamyka na klucz).
(W tej chwili ludzie puszczają Nieznajomego, który dla wygody zdejmując surdut, to samo robią tamci; rzucają się na wiszące obrazy, zrywają makaty, dywany, kradną wazy, zegar, słowem ogalającą w minucie cały pokój; stuk zabieranych sprzętów zagłuszają, krzykiem naśladującym nieznajomego waryata schwytanego przez ludzi, uspakajanie Doktora i t. d. Na głosy te, słysząc dobieganie się Ryszarda zamkniętego w pokoju.

DOKTOR

(przy drzwiach zamkniętych do Ryszarda).

Zaraz panie, chwilę cierpliwości, karetka już zajechała, będzie pan miał spokój..

(Złodzieje tymczasem wynoszą jedno po drugim, pokój tylko z meblami zostawiają. Gdy już niema nikogo na scenie, ostatni **Nieznajomy**, robi fujarkę na nosie w kierunku drzwiom Ryszarda.

NIEZNAJOMY.

Panie! zagraj pan co jeszcze!!! (ucieka).

(na scenie pusto).

RYSZARD

(po chwili ciszy, wyważa drzwi i oślepiałym wzrokiem wodzi po scenie).

KURTYNA POWOLI ZAPADA.

SEKCJA
SCENICZNA.